

Wstęp

Autor, Bohdan Tadeusz Ludwik Urbanowicz, ur. 3.I.1911 roku, podporucznik rezerwy 10 Pułku Ułanów Litewskich ze starszeństwem z dniem 1.I.1933 roku¹. Zmobilizowany w sierpniu 1939 roku na stanowisko dowódcy 3 plutonu w 1 szwadronie swojego pułku macierzystego, z którym przeszedł cały szlak bojowy². W bitwie pod Kockiem został ranny w stopę. Po kapitulacji przewieziono go do szpitala dla jeńców wojennych w Radomiu a następnie w głąb III Rzeszy, gdzie pozostał do końca wojny. Tytuł jego wspomnień opublikowanych w paryskich „Zeszytach Historycznych” w 1982 roku³ został nadany przez redakcję czasopisma błędnie.

Spisane poniżej wspomnienia w żadnym wypadku nie można uznać za rekonstrukcję działań wojennych, w których brał udział autor przekazu, chociażby z powodu zbyt wielkiego dystansu czasowego. Jednak to, co przetrwało w jego pamięci przez następne 42 lata życia stworzyło obraz głębokich przeżyć wewnętrznym 28-letniego oficera rezerwy, stykającego się z ogromem zniszczenia II wojny światowej. Opis przedwojennej sielanki a następnie walk kampanii wrześniowej jest przeciwstawieniem się współcześnie rozpowszechnionemu stereotypowi bohaterskiego kawalerzysty szarżującego na czołgi. Autor spróbował przedstawić trudy wojenne bez ułańskiego etosu, jaki dominuje w relacjach kawalerzystów z I wojny światowej i wojny polsko-bolszewickiej. Zapamiętana przez niego wojna była przede wszystkim nieustannym zmaganiem się z własnym strachem i możliwościami fizycznymi.

¹ Rocznik oficerski rezerw, Warszawa 1934, s. 130, 593.

² K. Draczyński, Listy do redakcji, „Zeszyty Historyczne”, z. 83, 1988, s. 233.

³ T. B. Urbanowicz, Ze wspomnień dowódcy 10 Pułku Ułanów Litewskich, „Zeszyty Historyczne”, z. 82, 1987, s. 153-174.

Bohdan Tadeusz Urbanowicz

Ze wspomnień dowódcy 10 Pułku Ułanów Litewskich

W pustym, szpitalnym pokoju o niebieskim ścianach patrzę na przeciwległą stronę ulicy. Jakaś kobieta myje okna. Rachityczne drzewa już zaczynają tracić liście. Po co teraz, w 1982 roku, piszę o wojnie? Mamy zbyt wiele historii, relacji i wspomnień wojennych. Te filmowe szarże Lotnej i Hubala, te natrętne w telewizji rogatywki, pomniki i wieńce, kompania reprezentacyjna maszeruje, śpiewając „ułani, ułani...”.

Każdy ma jednak prawo do opowiedzenia własnej prawdy. Los krótkiej, zaledwie pięcioletniej wojny ułańskiej, ostatniej w historii wojny kawalerii, to jakby beznadziejny marsz Dywizji Giełguda.

Po tym czas się zatrzymał dla mnie - przetrzało się 1.650 dni obozu.

Nie uczestniczyłem w szarżach ułańskich. Poznałem smak odparzeń, halucynacje w beznadziejnie długich bezsennych marszach. Milcząca wojna w ciszy lasów, w huku artylerii i karabinów maszynowych. Na tej wojnie nie usłyszałem ani razu piosenki ułańskiej...

Rok trzydziesty dziewiąty zapowiadał się dobrze. Słoneczne lato łagodnie przechodziło w dostatnią jesień. Michał Walicki uzyskał dla mnie stypendium Funduszu Kultury - Belgia i Holandia.

W tym roku malowałem dużo, ukończyłem ścienne obrazy do kościoła w Pionkach; dziś widzę, jak bardzo masacciowskie. Konkurs na projekt polichromii nowego Dworca Głównego w Warszawie. Wyróżnienie i zakup. Kończyłem obszerne studium o współczesnym malarstwie włoskim, komentując przełom malarstwa florealistyki do metafizyki Chirico i Morandiego. Oddałem do *Arkad* esej „O rysunku”.

Dziś sądzę, że nie spłaciliśmy długu uznania wydawcy i redaktorowi *Arkad* - Wandzie Filipowicz. Wielka dama i mądry człowiek, niosła za sobą legendę udziału w zamachu na Skąłona. Dążąc do odmłodzenia pisma, zaprosiła Franciszka Bartosza, Zygmunta Skibniewskiego i mnie do redakcyjnej współpracy.

Profesor Huber

Wielokrotnie odwiedzałem dom ojca mej narzeczonej, profesora Maksymiliana Hubera. Należał do ludzi, którzy zostawiają znaczący ślad po sobie. Byłem zafascynowany jego osobowością.

Przed pierwszą wojną — trzydziestoparoletni rektor Politechniki Lwowskiej. W okresie wojny dostaje się do niewoli jako oficer rezerwy armii austriackiej. Wyreklamowany z obozu przez prof. Timoszenkę, może, zdaje się w Kijowie, dalej prowadzić pracę naukową.

Kiedyś pokazał mi księgę pamiątkową ku czci Timoszenki — „oto mój wkład — 2 rzędy cyfr i znaków wzoru” — śmiał się. O ile wiem, profesor jako jeden z pierwszych skomentował u nas teorię Einsteina. Pierwszy w Polsce opracował statykę samolotu. Jego teoria wytrzymałości materiałów do dziś zachowała światowe znaczenie. Dalekie i niezrozumiałe dla mnie są te dziedziny matematyki i techniki. Ale interesowała mnie u profesora różnorodność zainteresowań i szczególna organizacja pracy.

Profesor był znakomicie zorientowany w aktualnej literaturze pięknej. Regularnie prenumerował serię „Roju”. Jego biblioteka skupiała nie tylko książki naukowe, gromadził obszerną płytotekę, głównie z zakresu muzyki operowej. Czytał partytury, nucąc partie wokalne. Obserwowałem, jak na pamięć, bez szachownicy, rozgrywał z prof. Godlewskim partie szachów.

Kiedyś namiętny palacz, nie znosił teraz dymu papierosowego; wracając z uczelni zmieniał ubranie, przesiąknięte — jak mówił „odorem ubraniowym”.

Szczególnie zaskakującym jego hobby była znajomość perfum; w rozmowach z paniami wyjaśniał swą systematykę zapachów i doradzał stosowanie odpowiednich perfum. Należał do tej klasy ludzi, którzy „zawsze mają czas”. Może dlatego do dziś kiedy ktoś mnie pyta, co robię? — odpowiadam — „nic nie robię, ale jestem bardzo zajęty”. Profesor formował własny rytm dnia, a pozornie uboczne zajęcia pozwalały mu skupić się, by jaśniej dostrzec właściwy problem pracy twórczej.

Do dziś zachowałem kartki profesora, pisane na Kriegsgefangenenpost do obozu w Murnau.

Brwinów

Mieszkałem w Brwinowie, na granicy Leśnej Podkowy i Stawisk. Odwiedzając Iwaszkiewicza, parokrotnie wpadali do mnie koledzy z gimnazjum wileńskiego — Staś Kownacki i Czesław Miłosz.

Piękny sad, sadzony przez moją matkę, już zaczynał zasłaniać dom. Kwitły teraz dalie, a wkrótce miały zakwitnąć ulubione przez matkę mihałki. Dziś na Żoliborzu widzę za oknem kwitnące drobne fioletowe kwiaty ze złotymi sercami, przesadzone przez matkę z Brwinowa.

W połowie sierpnia przeżyliśmy groźne zdarzenie. Nasz wilczur zaczął zdradzać dziwne zachowanie. Któregoś dnia biegł za moją siostrą, chwiejąc się, z przekrwionymi ślepiami. Hanka wpadła do kuchni. Pies wpadł za nią do sieni, której drzwi udało mi się zamknąć. Całą noc dochodziły rozpaczliwe wycie i łomotanie. Rano pies był martwy. Stwierdzono wściekliznę. Lekarz zapisał nam serię bolesnych zastrzyków, ale wojna przerwała kurację.

Niechętnie wyjeżdżałem do Warszawy, pełnej latem gwarnej młodzieży i ludzi wracających z urlopów.

Radio przekazywało coraz głośniejsze szczekliwe wrzaski.

I P S

24 sierpnia, idąc ulicą Szpitalną, spotkałem koło kwaciarni „Złocień” Elżunię Wilderówną. Właśnie szła na spotkanie z Marysią do Ipsu.

Dobrze pamiętam Elżunię, drobną i cichą blondynkę, córkę wybitnego antykwariusza Hieronima Wildera. Myślę, że tylko Antoni Słonimski mógłby opowiedzieć o tej świetnej żydowskiej rodzinie.

W połowie września, w czasie oblężenia Warszawy, niemiecka bomba trafiła dom Wilderów na Czackiego. Ciemna otchłań czerwonego gruzu i szarego popiołu pochłonęła całą rodzinę. Monika Żeromska wyszła cała, bo była tam zamknięta w łazience.

Szliśmy teraz z Elżunią do Ogródka Ipsowego. W Ipsie, jak zawsze o południowej porze, było pełno gości. Marysia ładnie wyglądała. Jej matka, Helena Skoczylasowa, była ubrana w białą suknię w czarne kropki i duży czarny słomkowy kapelusz. Wymienialiśmy wiadomości i plotki. Po raz ostatni piłem kawę i lody. Nie wiedziałem, że dopiero za sześć lat zobaczę Marysię, która zostanie moją żoną i matką moich dzieci. Wróciłem do mego ogrodu.

Mobilizacja

25 sierpnia wcześniej rano obudziły mnie gorączkowe głosy, trzaskanie drzwi ogrodu. Patrzyłem leniwie na jasne plamy słońca na ścianie pokoju. Wpadł ojciec, niosąc kartę mobilizacyjną. Przynagłał mnie, abym się nie spóźnił na pociąg do Białegostoku. Ubierałem się wolno. Do dziś mi żal tweedowej, tytoniowej w kolorze, marynarki, kupionej rok wcześniej w Rzymie. Matka ładowała mi do walizki wygodne buty od Hiszpańskiego, bieliznę, kanapki i pudełko z zastrzykami przeciw wściekliznie.

Peron na Dworcu Głównym był pełen rozgorączkowanych młodych ludzi, miotających się matek, sióstr i dziewczyn. Odprowadzał mnie tylko ojciec. Widząc, że chowam monety do kieszeni (czynię to dotąd) — dał mi portmonetkę. Tę skórzaną, szerniąłą podkówkę przechowałem przez całą kampanię wrześniową, przez pięć lat obozu i mam ją dotąd.

Ojciec gorączkowo uderzał mnie po plecach: „Nie rób głupstw, synu”. Były to ostatnie słowa Ojca i domu.

W 1946 roku, po powrocie do kraju byłem obecny przy ekshumacji rozstrzelanych 20 czerwca 1940 roku w Palmirach. W niewielkim piaszczystym dole leżało paruset pomordowanych. Ojca rozpoznaliśmy, leżał na samej górze. Długo musiał czekać na swoją kolejkę.

W tym roku Adam Siemaszko wyrzeźbił miedzianą płytę w formie trumiennej tablicy. To epitafium mego ojca, wisi teraz w kruchcie kościoła Św. Stanisława na Żoliborzu. Zachowałem grypsy z Pawiaka mego Ojca, troszczył się tylko o rodzinę.

10 Pułk Ułanów Litewskich

Cieszyłem się z przydziału do 10 pułku Ułanów Litewskich. Pułk ten znałem od lat dzieciennych. Jako chłopak odwiedzałem w pułku w Białymstoku mego wuja, rotmistrza Stefana Krzyżanowskiego, który kształcił moje umiejętności jeździeckie z całą surowością, nauczył mnie „anglezować” w siodle, bez strzemion i tak skakać przez niskie przeszkody.

Kolejni dowódcy pułku, to pułkownicy Obuch-Woszczatyński, Terencjusz O'Brien de Lacy, Witosław Porczyński, a na wojnie 1939 Kazimierz Busler, były adiutant osobisty Piłsudskiego. Poza Buslerem większość oficerów pochodziła z kawalerii rosyjskiej lub z Korpusu Wschodniego Dowbora-Muśnickiego. W rozmowach oficerów gęsto trafiały się rusycyzmy.

Co roku 8 maja pułk obchodził swoje święto pułkowe — rocznicę pojenia koni w Dnieprze pod Berezyną.

W czasie święta obowiązywało starszeństwo, to jest data promocji na oficera. Starszy promocją podporucznik rezerwy miał prawo „cukać” nawet sztabowego, ale młodszego pasowaniem, oficera.

Koszary pułku w Białymstoku były rozlokowane w lesie za Zwierzyńcem Branickich. Przez otwarte drzwi kasyna biły dźwięki dętej pułkowej orkiestry — granatowe „szasery” z amarantowym lampasem. Barwy pułku to amarant i biel przecięte paskiem granatowym.

Głównym akcentem święta pułkowego była oczywiście defilada. Za orkiestrą pułkową na siwych koniach — przypominam moje zaskoczenie — jechał stary brodaty Kozak, wachmistrz Denagujew, w czerkieskim żupanie — siedział na bułanym „kabardyńcu” o zadartej do góry jeleniej szyi, trzymając na smyczach dwa wilki. Ot relikwiarz carskiej tradycji kawalergardów. Potem szedł poczet sztandarowy. Sztandar, ofiarowany pułkowi pod Mołodeczmem przez Julię Potocką, towarzyszył całej kampanii, wywieziony przez Litwę do Anglii, do dziś znajduje się w Instytucie Sikorskiego w Londynie.

W książce L. Żółtek-Mitkiewicza „Z generałem Sikorskim na obczyźnie” znalazłem wzmiankę: „15 maja 1942 w Gask (Szkocja) ksiądz prałat Kaczyński odprawił w dużym salonie pałacyku cichą mszę świętą na intencję pomyślnej podróży (do Waszyngtonu) Naczelnego Wodza i Prezesa Rady Ministrów Generała Sikorskiego. Pułkownik Zygmunt Borkowski nadał dekoracjami i całością urzędnika specjalną symbolikę. Jako tło posłużyły sztandary 10 pułku ułanów litewskich i 85 pułku strzelców wileńskich. Lewa strona płachty sztandaru 10 pułku ułanów litewskich z Matką Boską Ostrobramską i z Pogonią herbem Gedyminów. Do mszy świętej służyli rotmistrz de Virion z 10 pułku ułanów i podchorąży Odrowąż również z tego pułku...”.

Pułk formował się w 1918 roku w Pietkowie pod Zambrowem. Wychodził w pole w zdobycznych niemieckich mundurach huzarskich.

Wiosną 1919 pułk wchodzi w skład dywizji litewsko-białoruskiej. Walcząc pod Słonimem, Bobrujskiem i Mińskiem, uczestnicząc w ofensywie na Kijów, dojdzie do Dniepru przy ujściu Berezyny. W czasie odwrotu będzie wycofany aż do Rawy Mazowieckiej. Wtedy liczy już tylko 15 oficerów i 75 szabel. W nowej kampanii idzie na Druskieniki, Grodno i Stołpce. 15 października 1920 rozkaz o zawieszeniu broni zatrzyma działania pułku w Puszczy Nalibockiej. W grudniu 1920 pod dowództwem gen. Żeligowskiego wejdzie do Wilna, stając na granicy pod Trokami i Rudziszkami. Od 1922 stałą kwaterą pułku będzie Białystok.

„Walcząc, nigdy pułk 10 ułanów nie zawiódł pokładanej w nim nadziei” — to ustęp z rozkazu Naczelnego Wodza.

25 odznaczonych oficerów i ułanów — Krzyżami Virtuti Militari, 57 — Krzyżami Walecznych.

W ostatniej swej kampanii 1939 roku pułk rozpocznie wojnę bitwą na terenie niemieckich Prus Wschodnich. Skapituluje, nie mając amunicji 6 października w Woli Gułowskiej pod Kockiem. I znów będą odznaczenia — dziesięciu oficerów Krzyżami Virtuti Militari; na 24 oficerów pierwszej linii pułku zginęło na polu - 8, a 11 było rannych.

Z zapasowego 110 pułku wyjdzie i major Hubal-Dobrzyński.

Wymarsz

25 sierpnia zameldowałem się w pułku. Szybko i w podnieceniu biegł czas. Nieustanne meldowania, pobieranie sort mundurowych, broni i konia. Zostałem przydzielony do I szwadronu, obejmując dowództwo 3 plutonu.

Tej nocy pułk wychodził na stanowiska wyjściowe. Ciemna, duszna noc, marsz bocznymi gościńcami. Oszczędzając konie, szliśmy pieszo i konno. Miękki stukot kopyt końskich, skrzypienie siodeł, podzwanianie strzemion i przytroczonych szabel. Jedyne światło widziane tej nocy — to czerwone dopalające się zgliszcza wsi Pogorzelka. Była to pierwsza zapowiedź pożarów nadchodzącej wojny.

Zostałem wezwany na czoło szwadronu, do dowódcy rotmistrza Władysława Abramowicza. Rotmistrz trzymał mnie mocno pod ręką — mówił o przebytych wojnach — tłumaczył mi naturalność objawów strachu; żołnierz jest podporządkowany dwóm regułom wojny: ma wykonać rozkaz, bez względu na jego ocenę i odpowiadać za życie podkomendnego przed Bogiem i własnym sumieniem.

Zapamiętałem te rady, ale nie zawsze umiałem się im podporządkować.

Na dzień zalegaliśmy w lasach lub zagrodach wiejskich. W nocy szliśmy na zachód wzdłuż Narwi na Kobylino, Strękową Górę. Przekraczaliśmy Biebrzę, idąc na Jedwabne. Mijaliśmy bezkresne płaskie bagna Wizny, zanurzaliśmy się w korytarze ciemnych lasów, obchodziliśmy ciężkie ponure bunkry umocnień Biebrzy. Wreszcie znaleźliśmy się, koło Orlikowa, na wyjściowych bojowych stanowiskach. Na łagodnym wzniesieniu, pokrytym z rzadka jałowcami, okopywaliśmy nasze i karabinów maszynowych stanowiska.

Parokrotnie pojawiał się mały, beczułkowaty dowódca pułku podpułkownik Busler. Naszą gotowość bojową sprawdzał dowódca Brygady Podlaskiej, generał Kmicic-Skrzyński, niski, suchy, z czarną opaską na oku — jeden z paru pierwszych ułanów Beliny.

I września, leżąc na skwarnym suchym polu, usłyszeliśmy wysoko na niebie ciągły i metaliczny brzęk. Świetliste srebrne samoloty — pierwszy nalot na Grodno.

Kurtyna rozpoczynającej się wojny podnosiła się w pełnym blasku słońca.

W nocy szliśmy na zachód, w kierunku granicy Prus Wschodnich. Jedwabne — puste, jakby wymarłe miasteczko. Wszedłem do jednego z nędznych domów. W ciemnym wnętrzu leżały rozrzucone w nieładzie białe plamy szmat, pościeli i betów. Ludność żydowska opuszczała w pośpiechu nadgraniczne miejscowości, zostawiając wszystko co posiadała.

Wojna otwierała zamknięte dotąd ludzkie sypialnie.

Bawiła mnie jeszcze ta pierwsza zabawa w wojnę. Gładziłem ciepłą szyję mego konia, słyszałem brzęk mych ostróg. Wydawałem gromkim głosem komendy, łąjałem ułanów, którym konie „caplowały”, tj. kłusowały w marszu stępem.

Podjazd na Prusy

2 września, stojąc na granicy w Milewie, szwadron otrzymał rozkaz przekroczenia granicy. Szliśmy szykiem bojowym z drużyną karabinów maszynowych i aparatem radiowym. Była godzina piąta popołudniu. Wchodziliśmy w inny krajobraz ceglanych zagród, wielkich stodół — Gross Brzosken, Klein Brzosken, Belzonen. Na środku wsi pał się spokojnie ciężki stary kasztan. Szwadron od czasu do czasu spieszał się, wymieniając strzały z cofającymi się oddziałami Grenzschtzu. Z ciekawością patrzyłem na pierwszych jeńców w feldgrau i w hełmach, tak bardzo diirerowskich. Ułani nie byli jeszcze ostrzelani, strzelali często Panu Bogu w okno, kryjąc twarze w trawę. Równolegle szedł na Glarheim trzeci szwadron rotmistrza Mościckiego.

Szwadron wyszedł z lasu na Belzonen (dziś Bełcząc). Przed nami rozciągała się szeroko przestrzeń świeżo zoranego pola, skłaniająca się w dół w kierunku szosy i miasteczka Bialla (dziś Biała Piska). Szwadron spieszył się, zostawiając konie w lesie, szliśmy kolumienkami z bagnetami na karabinkach. Tak w tej wojnie walczyła kawaleria, bez lanc i szabli.

Niespodziewanie, z boku uderzyły głuchoe wybuchy moździerzy, zaterkotały liczne karabiny maszynowe. W zapadającym zmierzchu wybiegły parabole świetnych pocisków. Pięknie nadzialiśmy się, odsłonięci, na umocnione stanowiska bojowe niemieckie. Zaskoczenie było pełne. Cała nasza ułańska piechota panicznie zaczęła się wycofywać. Ale biegnąc pod górę, przewracaliśmy się o skiby, przerażeni, zziązani — traciliśmy oddech.

Usłyszałem w tym zgiełku głośnie wołanie. Pojawiła się przede mną ciemna sylwetka jeźdźca. To mój luzak, starszy ułan Jabłoński podprowadzał mi konia, rzucił mi wodze, wycofując się galopem do lasu. Koń, zaniepokojony strzałami, wspinał się nerwowo, kręcąc się wkoło. Zziązany, z trudem ładowałem się na siodło. I wtedy zdarzyła się wręcz groteskowa sytuacja. Podobnie jak i ja, przerażeni moi ułani, rzucając się, jak na zbawienie, do mego konia chwyтали rozpaczliwie za siodło, za ogon i grzywę. Ryczałem jak wół bez skutku, pragnąc uwolnić się od tej kupy towarzystwa. Zniewolony wracałem do lasu wolnym truchtem, jadąc na szczycie piramidy ludzi. Miałem wrażenie, że moje plecy są dwumetrowej

szerokości, otwarte i zapraszające las bzykających kuł. Okazało się później, że miałem przestrelony płaszcz i maskę gazową. Tracąc jednego ułana — wreszcie moja kupa ułanów dobiła do chroniącego nas lasu. Tak to, wbrew mej woli, byłem ostatnim oficerem, który wrócił razem ze swoim plutonem. Groteska sprzymierzyła się ze strachem.

Szwadron spełnił swoje zadanie, wrócił do pułku, prowadząc jednego niemieckiego oficera i 12 gemajnow.

Z powojennej literatury dowiedziałem się, że uczestniczyłem w pierwszym w tej wojnie starciu z nieprzyjacielem poza granicami kraju. Wkrótce poszły dalsze podjazdy na Prusy z pułków Brygady Suwalskiej i Podlaskiej.

Z trzeciego na czwarty dzień wojny Brygada Podlaska zaatakowała Niemców na pograniczu, trafiła jednak na już podciągnięte odwody i artylerię nieprzyjaciela, ponosząc duże straty w ludziach i koniach, przyprowadzając jednak kolumnę jeńców.

Pułk mój stał w odwodzie. Staliśmy w pogotowiu na koniach, w młodym sosnowym zagajniku. W pewnym momencie Niemcy przenieśli ogień na nasze stanowiska. W lesie nic nie widzieliśmy — kuląc się pod gwizdami pocisków, nie wiadomo skąd bijących, płoszyły się nam konie. Nagle usłyszałem głucho uderzenie i głębokie westchnienie konia — powoli zapadało się w dół moje siodło. Ktoś podprowadził mi nowego konia. Pryskaliśmy cwałem z zagrożonego ogniem lasu. W tych pierwszych dniach wojny nie bardzo wykorzystywałem rady rotmistrza.

Tkwi we mnie obraz ulicy wioskowej, zatłoczonej furmankami taboru i kolumny sanitarnej, z zabitymi i rannymi. Nie zapomnę szarego zakurzonego ciała, leżącego w słomie, patrzyłem na otwartą, wielką wyszarpaną z boku ranę — widoczne wnętrzości były bez krwi — szare; ranny patrzył na mnie przekrwionymi oczyma, poruszając ustami bez dźwięku.

W tym czasie zmotoryzowana dywizja pancerna, zdaje się Guderiana, przebiła się przez obronę Narwi pod Rózanem, zagrażając odcięciem całego zgrupowania Narew — gen. Młot-Fijałkowskiego.

Brygada Podlaska skazana była na kierunek południowo-wschodni, na Ostrów Mazowiecki i Zambrów. Szliśmy teraz poboczami szosy Suwałki - Łomża. Kryły nas przed samolotami wielkie białodrzewy i topole rosnące wzdłuż szosy.

Jeżdżąc co roku do Wigier, patrzę na szczątki tej alei drzew, które przetrwały do dziś.

Weszliśmy na rynek w Stawiskach. Otoczył nas tłum mieszkańców w chałatach i jarmużkach, wynosili nam mleko i wodę. Ktoś podał mi wielką blaszaną białą miednicę z zimną wodą. Nareszcie mogłem zmyć kurz i brud parodniowy. Kwaterowaliśmy w rytualnej

łaźni kobiecej, tak zwanej „mykwie”, skąd przez małe okienko strzelaliśmy, oczywiście bez rezultatów, do krążącego wywiadowczego samolotu.

Moja droga

Droga z Łomży do Suwałk, którą teraz maszerowaliśmy, aż hen poza granicę do Niemna i Kowna nanizana była dawniej domami krewnych, powinowatych i przyjaciół.

W 1920 roku jako dziewięcioletni chłopak furmaniłem i obrządzałem konie, uwożąc matkę i siostrę z Suwalszczyzny pod Warszawę. Od Grodna posuwała się szybko inwazja. Nocowaliśmy w Bzurach. Tam ładowano karete, bryczki i wozy — proponowano nam wspólną wyprawę za dwa dni, ale matka nerwowo nagliła do pośpiechu. Smagając batem zmęczone konie, wyjechaliśmy rankiem do Warszawy. Później dowiedziałem się o wymordowaniu na tej szosie całej uciekającej rodziny Kozłowskich.

Ale z tym krajem mojej młodości wiązały się i ciepłe, dobre wspomnienia. Miejsca letnich wakacji w Zofiówce Liburga, zabawy w pomoc żniwną, smak zimnego mleka w glinianej dzieży. Galopy konno i na oklep na nocne pastwiska przy ognisku. Kiedyś zorganizowano bieg myśliwski. Przydzielono mi dwuletniego ogierka — Trakena. Rwał ostrym galopem, wrywając mi wodze z rąk poprzez rżyska, miedze i rowy. Miałem już za sobą dobrą szkołę jeździecką mego wuja-rotmistrza. Na znak „mastra” finiszowaliśmy kasztanową aleją w Bzurach. Wyskoczyłem do przodu. Obok mnie, łeb w łeb, cwałowała panna Obrycka z Czarnówka. Wiatr niespodziewanie poderwał jej spódnicę. To co zobaczyłem tak mnie skonfundowało, że przyszedłem do mety pod gankiem jako drugi. Mieszają się te obrazy z tak odległej przeszłości.

Halucynacje

Wojna się dopiero zaczynała. Brzękły mi uwięzione nogi w cholewach. Powoli gubiliśmy kalendarz i rytm dnia i nocy. W nocy z 6 na 7 września przeszliśmy Narew pod Łomżą. Towarzyszył nam bez przerwy huk dział artylerii i wybuchy bomb lotniczych, rozsypywaliśmy się, kiedy szły na nas niskie ataki Sztukasów.

Spaliśmy na mokrych bagnach, z maską gazową i mapnikiem pod głową. Ogarniało nas coraz większe znużenie. Koni nie wolno było rozsiodływać, zdejmowaliśmy na chwilę siodła, aby rozcierać wiechciami słomy mokre grzbiety koni. Wtedy po raz pierwszy przeżyłem zjawisko halucynacji.

Jak to się przejawiało? Ot, jeden z przykładów. Jadę na czele plutonu w zwartym szyku, aby nie pogubić się w ciemnościach nocy — orientuje mnie widoczna na przedzie biała plama siwego konia trębacza poprzedzającej nas kolumny. Widzę, że ten siwy koń skręca gwałtownie w prawo -od drogi — podążam za nim z moim plutonem, patrzę na zagrodę wiejską, na sylwetę stodoły i żurawia studziennego. Nagle wszystko to znika, przede mną jest już tylko płaski horyzont pola. Zawstydzony zawracam konia, aby odnaleźć się znów w kolumnie marszowej.

Brok nad Bugiem

9 września. Po linii biegnie wiadomość o marszu na Bug pod Brokiem, gdzie przeprawia się kolumna niemiecka. Otrzymuję rozkaz wyjścia na czoło Brygady — jako szpica straży przedniej.

Wysuwamy się z lasu ostrożnie, przed nami pola, tak spokojne i ciepłe, jak to bywa jesienią o zachodzie słońca, na polu pasą się czerwone krowy, widać chłopca orzącego pole. Obrazek żywcem wyjęty z Milleta czy Chełmońskiego.

Wchodzimy do pierwszych zabudowań Broku — brukowane ulice — drewniane domy z ogródkami pełnymi kwiatów. Z zagród wybiegają baby, lamentując — ludzie, po co tam jedziecie, tam Niemcy. Widzę, jak moi szperacze walą łydkami boki koni, jednocześnie ściągając wodze. Ale nic to nie pomaga, napieram na nich, tak jak na mnie napiera szwadron, dalej pułk i reszta brygady. Posuwamy się stępą w głuchym milczeniu. Jak oczekiwałem, za zakrętem ulicy widzę posuwające się wolno opancerzone auto niemieckie, cofam pluton za zakręt — i szybko się spieszymy.

Leżę z moim ułanem na bruku w suchym rynsztoku. Choiński nerwowo nie może odryglować rusznicy przeciwczołgowej. Pomagam mu. Wysuwa się ciemny wóz niemiecki. Pierwszy strzał był celny, samochód okrywa chmura dymu, z wozu wyskakują ciemne sylwety — waliłem z mego pistoletu Visa do ukrywającego się w krzakach niemieckiego żołnierza, miał czerwone wypustki — chyba był to artylerzysta.

Długa cisza trwa w nieskończoność. Słyszę z krzaków nad rzeką coraz głośniejsze nawoływania się Niemców, z prawej strony widzę galopujący oddział kawalerii.

Pluton mój jest wreszcie zluzowany, wycofujemy się do zagrody. W cieniu wielkich topól pijemy wodę ze studni, leżymy wyczerpani i milczący. Na dziedziniec wbiega generał Kmicic-Skrzyński i gromkim głosem woła: „Ułani, musicie wpisać do historii dziesiątego pułku zdobycie Broku”.

Od tego momentu nie mogę słuchać krzepiących, patetycznych przemówień.

W nocy szwadron otrzymał rozkaz zaatakowania pobliskiego parku zamkowego. Przed nami krwawo świeciła ściana ognia, wznieconego przez Niemców. W ostatniej chwili rotmistrz poleca mi nawiązanie kontaktu z walczącym obok trzecim szwadronem Mościckiego; wracając po wykonaniu rozkazu, dopędzam mój szwadron i widzę jak na mostku walą się pod ogniem mój rotmistrz i atakujący ułani. Jeden z ułanów padł, nadziewając się szyją na swój bagnet. Natarcie nasze zostało odparte.

Stałem przy wozie, na którym leżał ranny rotmistrz Abramowicz — żegnał się z nami, przekazując mi swego konia. Później miałem możliwość ocenić siłę i sprawność tego konkursowego folbluta. Marsz brygady na odsiecz Warszawy został zatrzymany.

Stawaliśmy na postój w wioskach i zaściankach szlacheckich, kobiety wynosiły nam chleb i mleko, rozpytywały się o los swoich mężów i synów.

Wieś Grzymki. Na zewnątrz były wystawione ubezpieczenia. Nad ranem usłyszeliśmy dobrze nam znany ciężki warkot krążących dookoła czołgów. Alarmując pluton, stwierdziłem brak Choińskiego z rusznicą. Zaniepokojony, obchodząc zagrody, z dala zobaczyłem nieruchomy i niemy czołg z sylwetą żołnierza. Z paru ułanami szliśmy powoli w kierunku czołgu. Niedaleko w trawie leżał zabity Choiński ze swoją rusznicą — szliśmy dalej, na czołgu półleżał ranny niemiecki czołgista. Kazałem położyć go na karabinach, wycofaliśmy się do wsi. Jak się okazało, Choiński sam, bez rozkazu, poszedł zapolować na czołg, trafił, unieruchomił go, ale został zastrzelony przez ukrywającą się w pobliskich krzakach załogę czołgu. Sądzę, że tylko fakt zaopiekowania się rannym Niemcem uchronił nas od podobnego losu.

Porażały nas wiadomości z radia. Nachodziły nas chwile pełne depresji. Pułk, jak dotąd, trzymał się dobrze, nie było jeszcze przypadków dezercji. Tradycje pułku, więź koleżeńska, no i na pewno instynkt stadny koni sprawdzały się teraz w polu.

11 września toczyła się duża bitwa pod Zambrowem. Czołgi przejechały tyralierę ułanów. Na czołg wyskoczył porucznik Chamski, nie trafił jednak granatem w otwartą klapę i został przez czołgistę zastrzelony.

12 września trwały dalej walki, zginął dowódca Ułanów Krechowieckich, pułkownik Litewski, nasz pułk odrzucił niemieckie pancerne oddziały rozpoznawcze, idące od strony Czyżewa.

Mień

W nocy z 12 na 13 września znów byłem uhonorowany zadaniem prowadzenia szpicu straży przedniej pułku. Przed nami szło 9 strzelców i 5 ułanów.

Weszliśmy do wsi Mień. Wioska była zatarasowana masą furmanek taboru. Przeszedłem most i wychodząc na skraj wsi, ze wzniesienia widziałem szosę łączącą Wysokie Mazowieckie z Brańskiem. Z daleka na horyzoncie znikał w lesie oddział kawalerii pewno 9 Pułku Strzelców Konnych Falewicza. Z lewej strony, z lasu, zaczęły dochodzić chaotyczne strzały i wybuchy granatników. Szosą uciekali w nieładzie jeźdźcy i jaszczce armatnie. Zatrzymałem pluton; rychło pojawił się pułkownik Busler z adiutantem Nostitz-Jackowskim. Niemcy walili teraz seriami karabinów maszynowych w poprzek ulicy wioski. Gęste serie siekły w przerwach, między zagrodami. Udało się nam przeskoczyć tę nawałę ognia. W wiosce panowała panika wśród taborytów, paliły się niektóre zagrody. Mam przed oczami obraz biegnącej młodej dziewczyny z zakrwawioną piersią.

Ten dzień miał doniosłe znaczenie dla mego pułku i brygady. Pułk został odcięty od brygady.

Ponury był samotny marsz w ciemną noc. Schwytano paru Niemców-dywersantów, sygnalizujących światłami nasze ruchy. Zaczęła się psychoza zdrady i dywersji.

Defilada

15 września znowu w nocy prowadziłem szpicę straży przedniej. Dowództwo widocznie przyzwyczajało się do tego. Obchodziliśmy kręgiem stanowiska niemieckie, ale łączność z brygadą była nadal zerwana — milczały stacje radiowe pułku. Drogę przecinała szosa Bielsk Podlaski - Siemiatycze, obrzeżona wielkimi drzewami. Zgodnie z regulaminem rozstawiłem ubezpieczenia z obu stron szosy, pułk rozwijał się szeroko kolumnami plutonów, aby ławą przekroczyć szybko drogę. Przechodzenie kolumną groziło zawsze rozcięciem oddziału. W momencie, kiedy pułk był już gotowy do przejścia, stojąc kilkadziesiąt metrów od szosy, usłyszeliśmy rosnący z lewej strony szum zmotoryzowanej kolumny. Nastąpiła sytuacja, której nigdy nie zapomnę.

Przed rozwiniętym szeroko pułkiem defilowała teraz marszowa kolumna czołgów, wozów pancernych, samochodów ciężarowych, Niemcy śpiewali, grali na akordeonach, głośno rozmawiali. Nie mogę uwierzyć, aby Niemcy nie dostrzegli stojącej niedaleko konnicy, omiatały nas przecież reflektory. Nastąpił jakiś paraliż, na wojnie zdarzają się takie chwile, kiedy nikt nie chce oddać pierwszego strzału. Około godziny trwał ten przemarsz

przed naszymi oczyma. Wydawało mi się, że to trwa nieskończenie długo, na krótki moment zapadłem nawet w drzemkę.

W końcu jednak przeszliśmy szosę, idąc na wschód na Puszcę Białowieską. Coraz więcej było lasów i ciemnych borów, które dawały nam chwilę wytchnienia i poczucie bezpieczeństwa.

Zabłocie

Prowadząc dalej szpicę, otrzymałem rozkaz przygotowania postoju w jakimś majątku. Piękne drewniane stodoły i obory okalały wielki dziedziniec. Pieszko okrążyłem gazon różany, stukając do drzwi niskiego dworu, mijałem wielką ciemną sień, w kancelarii dworskiej były rozwieszane strzelby, poroża i fotografie. Na spotkanie mnie wyszła wysoka kobieta w długiej szarej sukni. Prosiłem o sprzedaż owsa i możliwość wymłócenia, zapowiadając przyjazd sztabu pułku.

Ku memu zdumieniu, starsza pani sprzeciwiła się gwałtownie kwaterowaniu pułku. „Przecież wojna już jest skończona” — mówiła gorączkowo — „komendant niemiecki zabrania pod karami kwaterowania polskich żołnierzy”. Zatknęło mnie z oburzenia.

Szwadrony rozlokowały się jednak w majątku, słyszałem działające młockarnie, a w szopie znalazłem magazyn serów. Ułani kolejno podchodzili, płacąc za odbierane okrągłe żółte sery. Wprowadziłem sztab pułku do wielkiej jadalni, dwie dziewczki przyniosły jakąś nędzną ziołową herbatę i wysypały na stół wyschłe, spleśniałe resztki chleba.

Wściekły wybiegłem, szukając właścicielki, ale okazało się, że przezornie uciekła z ojcem. Do dziś żałuję, że nie kazałem publicznie, na dziedzińcu, sprać pasami jej tyłka. Był to jedyny wypadek podobnego zachowania w czasie całej mojej kampanii.

Ileż ciepła i wiary dawały nam te rozdające żywność i napoje, uśmiechnięte stojące przed chatami kobiety.

Puszcza Białowieska

Coraz więcej rozproszonych oddziałów skupiało się w głuszy puszczy Białowieskiej i Świsłockiej. Ale coraz bardziej brakowało i żywności i furazu.

Pułk został teraz włączony do brygady „Plis” — pułkownika Plisowskiego. Dywizją dowodził generał Zygmunt Podhorski. Wkrótce rozproszone oddziały zebrał w jedną grupę generał Kleeberg. Czeremcha, Czeremyski, Hajnówka — to nasze dalsze miejsca postojów.

Dworzec kolejowy Nurzec był jakby wymarły, opustoszały, trwał tam jeszcze tak charakterystyczny zapach smarów — daleki znak normalnego życia, swobody poruszania, nostalgii dalekich podróży.

19 września dotarła do nas oficjalna wiadomość o przekroczeniu granicy wschodniej przez oddziały sowieckie. Przebywaliśmy na terenie wiosek białoruskich. Stwierdziliśmy fakty dezercji, miała również miejsce kradzież amunicji w taborach. To był najcięższy czas naszej tak już teraz beznadziejnej kampanii. Ale pułk dalej trzymał się sprawnie, wykorzystując dobrze czas pobytu w puszczy na reorganizację oddziałów.

Podjazd

23 września zostałem wezwany do gen. Podhorskiego. Generał leżał na łóżku w białej izbie chaty, przykryty pledem w czerwono-czarną kratę. Pamięta się takie drobiazgi.

Otrzymałem rozkaz wykonania rozpoznawczego podjazdu. Stale towarzyszyło nam dążenie do skupiania się w Warszawie. Podjazd — w składzie mego plutonu i drużyny karabinów maszynowych — miał rozpoznać drogę na zachód do stolicy.

Z osobą generała wiążą się wybiegające naprzód wspomnienia. Spotkałem się z nim za pół roku, w obozie jenieckim w Murnau. Spacerowałem, rozmawiając wielokrotnie z generałem, w tłumie kręcących się w jedną stronę wokoło placu obozowego. Nazywaliśmy to „karuzelą”.

Ale utkwiło mi w pamięci i ostatnie spotkanie z generałem w czerwcu 1945 roku. W maju, po uwolnieniu obozu, zostałem delegowany do Austrii do Salzburga dla opieki nad wysiedlonymi dipisami. Zadaniem moim było znajdowanie koszar, zabezpieczanie żywności i opieki lekarskiej dla tysięcy bezdomnych rodzin, wywiezionych na roboty do Rzeszy. W czerwcu odwiedziłem mój obóz w Murnau. Życie obozowe nie uległo tam zmianom — te same karuzele, gotowanie na fetówkach i czekanie na lepsze czasy. Dowiedziałem się w obozie, że zostałem umieszczony w grupie pierwszych 80 oficerów zaproszonych do 2-go Korpusu we Włoszech. Nie wyraziłem zgody na ten wyjazd. Dziś myślę: jakże inaczej potoczyłyby się koleje mego życia! Wracalem autem do Salzburga, okrężną drogą na Innsbruck, mijając szczyt Herzogstandu, Garmisch-Partenkirchen. Zatrzymałem się na wysokiej przełęczy — przede mną rozciągał się niezmierny, rozległy widok na alpejski krajobraz, na dolinę Innu, na Otztaler, Tannen-Gebirge i Dachstein, aż po odległy Gross-Glockner i Venediger.

Na przełęcz, od południa, pod słońce, powoli wjeżdżały jeepy i samochody ciężarowe. Ta kolumna ze znakami 2-go Korpusu przybywała po pierwszy transport oficerów. Z auta wysiadł major Dziewicki i gen. Podhorski. Generał serdecznie mnie powitał, przekonywał o konieczności zostania na Zachodzie — „musimy zakładać tam stacje polskośći” — mówił.

Ta rozmowa na przełęcz, na tle niebosiężnych białych szczytów alpejskich — niosła skojarzenia romantyczne, przywoływała jakieś strofy Poety.

Wracam znów do kampanii 39 roku.

Prowadziłem podjazd (23 września) na Mielnik.

Mój Boże, znowu skojarzenia, nie umiem widocznie uciec od historii. W 1945 znalazłem się na zamku w Fishornie. W sklepionej sali bramy wejściowej odkryłem sterty książek z księgozbioru Stanisława Kostki-Potockiego z Wilanowa, na książkach leżały popiersia marmurowe z Zamku Warszawskiego, deptaliśmy grubą warstwę starych papierów; znaleziony pierwszy żółty dokument był oryginałem Unii Polsko-Litewskiej z 1505 roku, zawartej w Mielniku.

Pod Miernikiem przeszliśmy wpraw na koniach przez Bug. Nad głowami trzymaliśmy karabiny i amunicje. Obraz jakby z Pamiętników Paska. Późnym wieczorem zatrzymałem się w Konstantynowie u pani Platerowej. Piłem gorącą kawę zbożową, gorącą, bo byłem cały przemoczony przeprawą przez rzekę.

Maszerowałem na Sarnaki, Łosice. Podeszliśmy pod Mordy. Zostawiliśmy koniowodnych w lesie, kwaterując u wójta; kończąc jajecznicę usłyszałem strzały z rusznicy — na szosie ciemniały dwa czołgi niemieckie: jeden z nich musiał być uszkodzony, bo drugi czołg, szczepiony, ciągnął go do tyłu. Wieś została silnie ostrzelana. Płonęły strzechy stodół i budynków. Przez kartoflisko wycofaliśmy się bez strat do lasu, objeżdżaliśmy dookoła, aby z lasu na wzniesieniu widzieć park i miasteczko Mordy. Szosa była zapełniona autami niemieckimi.

Nagle wyjechała naprzeciwko nas bryczka z dwiema młodymi dziewczynami. Zaskoczone naszym widokiem, panny chyba Platerówny z Mord tłumaczyły, że jadą do lasu zakopać srebra. Miały wiadomości o kończącej się obronie Warszawy.

Zadanie podjazdu uznałem za spełnione. Droga na Warszawę była zamknięta. Należało teraz znaleźć drogę do mojej brygady, przypuszczałem, że jedyny kierunek marszu otwiera się już tylko na południe.

W lesie mijaliśmy kilka unieruchomionych polskich Karasi; koło tych samolotów nie było żywej duszy, urządzenia pokładowe były jednak wymontowane.

Ostatni ułani

Kownaty, 26 września. Brama dworu była otwarta, zszedłem z konia w długim kawaleryjskim płaszczu i hełmie. Na moje spotkanie wybiegł młody mężczyzna, pozdrawiając mnie po rosyjsku. Był jak i ja zaskoczony i speszony — nie oczekiwał już tutaj widoku polskiego żołnierza. Okazało się później, że szedłem cały czas, jak szczur prześlizgujący się pasem niczym, rozdzielającym wojska niemieckie od sowieckich.

Dom był pełen uciekinierów z Warszawy. Gospodarze zabili barana na obiad dla moich ułanów. Siedziałem na honorowym miejscu przy wielkim, krytym białą ceratą stole. Od dawna nie jadłem normalnego wiejskiego obiadu. Nadszedł jednak czas odjazdu, luzak podprowadzał mego konia, zgromadzeni na ganku gorąco mnie żegnali, babcia błogosławiła mnie krzyżem, a jedna z dziewcząt ładowała mi jabłka do kieszeni płaszcza. Okrążyłem z moim plutonem gazon. Ostatni ułani. Ot, malowniczy obrazek Kossaka.

Biała sarna

Maszerowałem na południe. Drogę grodziły mi bagna rzeki Krzny — szeroko rozlane między Białą Podlaską i Międzyrzecem, drogę przecinała nam szosa biegnąca równolegle do rzeki. Rozwijając mój pluton, zobaczyłem nadjeżdżające z prawej strony od Międzyrzecza dwie tankietki sowieckie, przeczekaliśmy ich przejazd, aby przekroczyć szosę.

Jeden z moich zwiadowców jechał na siwym koniu, nagle zobaczyłem naprzeciwko niego z daleka drugiego siwego konia. Okazało się, że napatoczyłem się na oddział sowieckiej kawalerii. Powitały nas strzały karabinowe, do akcji włączyły się i tankietki. Wialiśmy przez otwarte pole jak kuropatwy, rozproszonym stadem, nakryci dachem świetlnych pocisków.

Na szczęście konie, stadnym instynktem, znów nas skupiły w zwarty oddział. O zmierzchu zapadliśmy w sosnowym młodniaku. Piaszczystą glebę lasu przebijały schnące ostre badyłe traw. Byliśmy odcięci od pułku; ułani milczeli, rzucając niespokojny wzrok od czasu do czasu na mnie, oczekiwali jakiejś decyzji swego porucznika.

Usłyszałem skrzypienie kół — stary brodaty Żyd w jarmułce siedział bokiem na wózku. Prerażony zatrzymał gwałtownie konia. Zapytałem go o miejsce przeprawy przez bagna rzeki, nie był miejscowy, ale radził nam zapytać o drogę w pobliskim Woroncu, majątku Światopełk-Mirskiego. Tarabaniliśmy się ciężko na konie. Zapadła już noc, wyszedł młody, w jasnym ubraniu właściciel — i tam, w czerni tego ciemnego parku dowiedziałem się

o upadku Warszawy. Mirski dokładnie poinformował nas o mostach i miejscach przeprawy. Zginął podobno kilka dni później.

Omijaliśmy park, jadąc brzegiem lasu. Dla ostrożności nie wysłałem ubezpieczeń, bo oddalone od stada konie rżeniem mogły nas zdradzić. Szliśmy trójkami, stępa, zwartą kolumną. Ja jechałem w pierwszej trójce.

Niespodziewanie na płaskim polu zobaczyłem z daleka sarnę, białą w świetle wschodzącego księżyca. Sarna poruszała się wolno, równoległe do nas. Jak urzeczony patrzyłem na to zjawisko. To nie była halucynacja. Kto wie zresztą? W pewnym momencie sarna stanęła — odruchowo dałem znak ręką, by pluton stanął i usłyszałem w niedalekiej odległości gwar rozmów w obcym języku. Droga była tutaj zamknięta. Pozostało jeszcze jedno, już ostatnie przejście. Przekroczyłem wreszcie zbawczy most; za nami rozległy się krzyki komendy i pojedyncze strzały. Ruszyliśmy ostrym galopem. Czy ta księżycowa sarna przeprowadziła nas przez most właśnie w chwili zmiany warty, czy nieuwagi załogi? Nie wiem...

Ostrym klusem pruliśmy dalej na południe. Spotkani chłopci - były to już polskie strony — mówili o przemarszu dużych oddziałów naszej kawalerii. Pod Parczewem dobiłem wreszcie do brygady, pułku i mego szwadronu; uważano nas już za straconych. Mam w gębie smak białej nogi gotowanej kury, wręczonej mi przez dowódcę szwadronu, porucznika Rostockiego.

Jawidz

W związku z kapitulacją Warszawy generał Kleeberg zaniechał marszu na stolicę. Jedynym możliwym kierunkiem było południe. Szliśmy przez Czemierniki. Nad nami brzęczały samoloty. Stałe alarmy lotnicze.

28 w nocy, na szosie pod Wieprzem, staliśmy na odprawie w grupie oficerów. Nagle z zakrętu wyjechał na motocyklu żołnierz niemiecki, zaskoczony dodał gazu, roztrącając nas do rowów.

Przygotowywano uderzenie na Jawidz. Znów przeszliśmy wpław przez rzekę, z bagnetami na karabinkach obchodziliśmy folwark, ulokowany na wzniesieniu. Skupiona tam załoga niemiecka zagradzała drogę, posuwaliśmy się, kryjąc się za zabudowaniami, wypierając powoli Niemców gęsto nas ostrzeliwujących. Naprzeciwko mnie seriami terkotał karabin maszynowy, granaty zmusiły go do milczenia. Biegący obok mój ułan pobiegł na to

stanowisko — usłyszałem strzał pistoletu, padł zastrzelony przez rannego Niemca. Jawidz został oczyszczony z Niemców, szliśmy dalej już w rejon Adamowa i Kocka.

Kock, ostatnia bitwa

1 października stanęliśmy na postój we wsi Hordzież, rozciągniętej i ukrytej w wielkich drzewach, na drodze do Syrokomli. Karmiliśmy konie, rozcieraliśmy jak co dzień wiechciami słomy grzbiety koni, zakładaliśmy worki z obrokiem na łby końskie, przyjechała kuchnia polowa, rozstawiłem konie i ludzi w otwartych na oścież stodołach. Za zabudowaniami rozpościerała się wolna, duża przestrzeń pola, opadająca w dół do rzeczki i lasu. Noc przeszła spokojnie. Rano kopaliśmy wnęki i zasłony strzeleckie. Słońce świeciło mi teraz prosto w twarz, leżąc na ziemi patrzyłem na źdźbła trawy, polne kwiaty, motyle i biedronki. Natura nie próżnowała.

2 października usłyszeliśmy z lewej strony, od strony Syrokomli serie karabinów maszynowych i szczęśliwe stęknienia naszych siedemdziesiątek. W Syrokomli stał trzeci szwadron Mościckiego. Odgłosy walki coraz bardziej potężniały. Jak dowiedziałem się potem — nieubezpieczona kolumna niemieckich samochodów ciężarowych jadąc groblą, wjechała prosto na stanowiska szwadronu: zaskoczenie było pełne, bo Niemcy sądzili, że wojna jest już skończona. Jak do kaczek pruli nasi ułani.

Po linii szedł rozkaz pieszego natarcia. Jak się okaże — dla mnie ostatniego.

Wychodziłem z tej swojej dobrej wioski, trzymając w jednej ręce mapnik, w drugiej bojowy granat. Rozwinięci w tyralierze, co pewien czas zapadaliśmy się i znów podnosiliśmy, bo ogień z pobliskich stanowisk był coraz ostrzejszy. Z krzaków kryjących rzeczkę widzieliśmy odrywające się w tył grupy Niemców, uciekających do lasu.

W „Przyczynkach do kampanii wrześniowej” o tej naszej akcji i moim w niej udziale napisze później pułkownik Porwit.

Nawała ognia z moździerzy i karabinów zaczęła potęgnić. Co pewien czas któryś z moich ułanów nieruchomiał na ziemi, dalej nie sposób było się posuwać, unieruchomieni padaliśmy, jak kto stał, na ziemię, na otwartym do wroga skłonie pola. Dookoła mnie przyskały szare dymki uderzeń kul, skaczących beztróska jak świerszcze. Podałem po linii — niemożność dalszego utrzymania naszych stanowisk na tej „patelni”; po linii też wrócił rozkaz pozostania na miejscu.

Patrzyłem na rosnącą liczbę rannych i zabitych. Parę kroków z boku usłyszałem wołanie o ratunek jednego z moich ułanów. Pełzając powoli, objąłem go w pasie, ciągnąc do

tyłu. Nagle usłyszałem uderzenie i gwałtowne drgnięcie rannego. Trzymałem w objęciach zabitego. Sparalizowany strachem, poderwałem się i w tym momencie odebrałem piekielnie bolesne uderzenie w prawą stopę — okręciło mnie wkoło jak bąka. Leżałem plackiem bez ruchu, trzymając nadal granat w ręku. Obracałem się powoli głową do ognia, w jakimś dziecinnym odruchu — z obawy trafienia mnie z tyłu. Raniony traci nadzieję ucieczki. Głośno mówiłem „Pod Twoją Obronę”, czekałem kresu, kiedy uspokoi mnie nowa kula. Nie wiem, jak długo tak leżałem. Wreszcie z tyłu wyskoczył plutonowy Masztalerz i wyniósł mnie z tej tak beznadziejnie durnej sytuacji.

Powoli zbierały się resztki plutonu i szwadronu. Sanitariusz przeciął mój but (ten od Hiszpańskiego). Przestrzał, na wylot, prawej stopy. Zwykłą koleją ułańskiego obyczaju, ściskali mi ręce moi żołnierze. Komuś przekazałem mojego gniadego, szaro-jabłkowitego konia, odziedziczonego pod Brokiem po rotmistrzu.

Szpital

Złożono mnie w jednej z chałup w Syrokomli. Niedobra to była noc, w gorączce, ręce moje trafiały na galaretę zaskrzepłej krwi rozlanej na podłodze.

3 października o świcie ewakuowano rannych. Wywożono ich chłopskimi podwodami, mnie władowano na mały wózek zaprzężony w siwego konia. Furmanki ruszały galopem, bo wieś obłożona była ostrzałem artylerii, ale ja w mojej furmance z młodym chłopakiem pozostałem jednak na miejscu: okazało się, że wóz miał ułamane hołoble, przy ruchu wozu wyglądało to wręcz groteskowo, koń szedł w lewo, a wóz w prawo. I znów stwierdziłem, jak blisko patetyczne sąsiaduje z zabawnym. Pociski artyleryjskie przynosiły nisko, nad naszymi głowami, ja zaś spokojnie kazałem chłopcu wyłamać z lasku dwie młode sosenki i uformować z nich drażki hołobli. Przyznam się, że czas mi się dość mocno dłużył. Wreszcie ruszyliśmy boczną piaszczystą drogą, chłopak kulił się na każdy gwizd pocisku. Wreszcie dobiliśmy do Adamowa.

W białym murowanym budynku szkoły w Adamowie był rozlokowany szpital polowy. W szkolnej sali pokotem na słomie leżeli ranni. Ktoś mnie wołał — okazało się, że był to porucznik Bohdan Kiełczewski z mego pułku, ranny w pośladek. Nie godził się na odesłanie do szpitala — był wożony na furmance taborowej. Teraz rana już była zgangrenowana. Nie rozstawałem się z nim do Radomia, pamiętam, jak leżąc obok, z uśmiechem mówił, jak po tej wojnie objedziemy jego autem miejsca naszego marszu. Umarł w szpitalu w Radomiu.

Ściągnięty gwałtem stary lekarz-Żyd opatrywał rannych. W Adamowie nie było lekarstw ani bandażu.

Ciężka jest noc w takim polowym, przyfrontowym szpitalu, jakiś ciężko ranny całą noc wołał, jak w litanii, o pomoc swej matki.

4 października coraz bliżej było słycać odgłosy walki. Zaczął się ostrzał artyleryjski Adamowa. Zbliżał się naprawdę koniec całej mojej przygody.

Parę kroków ode mnie leżał lekko ranny niemiecki oficer — młody Austriak. Podpełznął do mnie szepcząc: „Dlaczego ci Niemcy ostrzeliwiają miasteczko, tutaj nie ma wojsk polskich, tylko ranni?“, i proponował, że pójdzie na linię niemiecką i zatrzyma tam ogień. Pod słowem oficera zobowiązał się wrócić. Wyraziłem zgodę.

Przyjechał lekarz z brygady, zabierając lekko rannych — Kielczewski błagał mnie, aby nie zostawiać jego samego. Odjechali.

Po godzinie ustało ostrzeliwanie Adamowa. Zapadał wolno wieczór, kręciły się kobiety z miasteczka, karmiąc nas i pielęgnując tak jak tylko umiały.

W nocy usłyszeliśmy głośny szum motorów. Do sali, oświetlonej paroma świecami, wbiegło kilku żołnierzy-motocyklistów w hełmach i czarnych płaszczach. Kolejno obchodzili rannych, zabierając im broń. W drzwiach zobaczyłem mego oficera niemieckiego, trzymanego z obu stron pod rękę. Szedł prosto w moim kierunku, odepchnął żołnierzy — stanął przede mną na baczność, meldując, że wrócił zgodnie ze słowem, przeproszał, że w takich okolicznościach się zjawia. Podziękowałem i oddałem mu swój pistolet. Tak wyglądało moje „wzięcie” do niewoli. Mój Boże — jeszcze trwały rycerskie obyczaje i na tej wojnie.

Ładowano nas jak śledzie, do krytych brezentem samochodów ciężarowych, auta szybko jechały bez świateł bocznymi drogami. Siedziałem oparty plecami o tylną klapy samochodu. Na zakrętach i wykrotach drogi waliła mnie ta deska po plecach, w brzuch mnie kopał jakiś konający. Ranni nie krzyczeli, ale wyli. W pewnym momencie nie mogłem i ja krzyżeć — opadła mi szczeka — nie mogłem ust zamknąć...

Rewizja i rejestracja miały miejsce w Irenie pod Dęblinem. Pierwszy szpital w Radomiu mieścił się w miejskim więzieniu. Potem przeniesiono nas do obszernego budynku gimnazjum na ul. Żeromskiego. Tu już mieliśmy zapewnioną opiekę. Szpitalem kierował dr Wyhinny, pojawiły się młode dziewczyny-pielęgniarki. Opiekowała się mną łacina panna Lehman, córka miejscowego przemysłowca; do dziś mam ofiarowane przez nią „Sonety” Michała Anioła. Lekko ranni uciekali ze szpitala, ale unieruchomiona noga uniemożliwiała mi wszelkie poruszenia. Rozdawaliśmy odwiedzających nas kartki, prosząc o przekazanie ich rodzinom.

W listopadzie przyjechała do szpitala moja matka, przywożąc mi ciastka — przekładaniec malinowych konfitur z czarnym razowym chlebem. To były ciastka z okupowanej Warszawy. Przywiozła również reklamujące mnie pismo od Zachwatowicza. Nic to nie pomogło.

Na św. Mikołaja odtransportowano nas do pociągu. Długo jechaliśmy na zachód do Rzeszy. Norymberga była w śniegu. Ulokowano nas w letnich barakach drewnianych na Reichsparteigu; baraki te były przygotowane na pomieszczenie letnie Hitlerjugend na uroczystościach partyjnych. W niedużym baraku lokowano około 100 oficerów, leżących na ciasno ustawionych 4-piętrowych pryzkach. Trudnym zadaniem było obrócenie się w nocy. Żelazny piec — „koza” nie ogrzewał wnętrza, krany z wodą na polu były całe pokryte sopłami lodu.

Pewnego dnia zamknięto nas w barakach. Wmaszerował w kolumnie tłum dziwnych tu cywilów w kapeluszach. Przybywali nowi jeńcy. Jak nas poinformowano, zgłosili się oni na dworcu na polecenie Wehrmachtu. Przyjechał Jerzy Sołtan i Czesław Szpakowicz — mój bliski kolega z uczelni i z pobytu w Rzymie. Czesio był ubrany jak zawsze bardzo starannie. Filcowy kapelusz, szalowy bobrowy kołnierz, zamszowe pantofle. Po rozlokowaniu nowych jeńców odnalazłem Czesława w sąsiednim baraku. Siedział na stoliku, w wąskiej przerwie na pryzkach leżały ponure „gefangeny” w pozach „etruskich sarkofagów”. Szpakowicz obrócony tyłem do okna czytał wiersze Verlaine’a, zabrał do niewoli i „Pieśni Bilitis” Louisa.

Zbliżały się święta w mrozie i zimie. Kalendarz zdarzeń został na pięć lat zatrzymany. Grupa Ślązaków spod Cieszyna śpiewała kolędy.

Tak oto moją przygodę wojny 1939 zamykała „Kolędziołka”, pierwsza usłyszana piosenka na tej wojnie.

Skończyłem pisać w 1982, w dniach stanu wojennego.